SZKOŁA CHRYSTUSOW



1939 VII

TREŚĆ SOMMAIRE

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO

ROK X — TOM XIX



LWÓW 1939
WYDAWNICTWO OO. DOMINIKANÓW



Za pozwoleniem władzy duchownej

XIX—1 LIPIEC 1939

SZKOŁA CHRYSTUSOWA
MIESIĘCZNIK

CZYNNIK UMYSŁOWY W CNOTACH I WADACH

Dla każdego jest jasnym, że szkodliwość wad polega na tym ustawicznym pobudzaniu nas do grzechów. Wada jest w nas takim stałym czynnikiem, który, gdy tylko się nadarzy sposobność do grzechu, zaraz nas do niego pobudza i sprawia, że coraz łatwiej i bez namysłu go popełniamy. Zapewne, że i bez wady nieraz człowiek ten sam grzech popełnia, ale nie przychodzi mu to bez pewnego wewnętrznego zmagania. Dobre skłonności natury opierają się, sumienie też pomrukuje i łatwo nie ustępuje. Otóż wada daje stanowczą przewagę złym skłonnościom i powoli zagłusza głos sumienia, stając się stałym rozsadnikiem zła, usprawniając poniekąd władze duszy do popełniania tego lub owego grzechu.

Ale to jeszcze nie wszystko!

Warto więc głębiej się temu procesowi przyjrzyć, najpierw aby się przekonać, że wpływ wad sięga o wiele dalej jeszcze niż myślimy, a następnie aby zrozumieć, jak należy im przeciwdziałać. W samej rzeczy oprócz nakłaniania nas do złych uczynków pewnej kategorii, wada ma jeszcze inny wpływ, trudniejszy do dostrzeżenia, a mianowicie wpływa ona paraliżująco na całe nasze życie duchowe i sprawia, że i w innych dziedzinach życia sąd naszego rozumu, czyli sumienia, nie ma już tej jasności, obiektywności i swobody, i że zawsze raczej pójdzie po linii odpowiadającej danej wadzie. Każda wada, szczególnie gdy już jest formalnie zakorzeniona w duszy, wpływa hamująco na roztropność, a zahamowana przez nią roztropność nie ma już pełnej swej swobody i nie może należycie pokierować naszym życiem moralnym, nawet w innych sprawach na pozór mało związanych z materią danej wady. Klasycznym tego przykładem jest łakomstwo jen. Skrzyneckiego, które bardzo wyraźnie hamowało jego roztropność naczelnego wodza.

Aby zrozumieć to promieniowanie wad — jak zresztą i cnót w kierunku dobra — należy poznać istotę tych stałych usposobień do czynów jakiegoś jednego gatunku, które nazywamy wadami lub cnotami. Jest ona bardziej złożona niż się to na pozór wydaje, a jednak da się do kilku prostych danych sprowadzić.

Nowożytna psychologia ostatnich czasów dość dużo uwagi poświęcała badaniu nawyków ludzkich i tego wszystkiego, co nadaje człowiekowi

od wewnątrz pewien jednostajny sposób działania co jakby się powiedziało, automatyzuje jego postępowanie. W Ameryce modnym stał się termin behawioryzmu, w Europie wiele mówiono o kompleksach, o strukturach psychicznych, i niejednemu mogło się wydawać, że to właśnie idzie o to samo, co dawne wieki nazywały cnotą lub wadą.

Otóż tak jednak nie jest. Pomimo wielu zbieżnych punktów, są wielkie różnice i one to pozwolą nam wejść w sedno zagadnienia o istocie cnoty i wady[1]).

Badania naszych czasów nad powstawaniem nawyków aczkolwiek bardzo cenne dzięki doskonałym nieraz obserwacjom, grzeszą wszystkie swym jednostronnym punktem wyjścia, którym jest mniej lub bardziej świadome stanowisko materialistyczne. Dają nam one nieraz bardzo dokładne dane o powstawaniu nawyków w czynnikach zmysłowych naszej psychiki, ale dalej nie idą i nie stawiają sobie pytania, jak sprawa się ma w dziedzinie duchowej. Jedni, świadomi materialiści, odrzucają całą tę dziedzinę i wtedy zupełnie logicznie zagadnienie ujednostajnienia naszego postępowania sprowadzają do pewnej automatyzacji, do jakiegoś zmechanizowania naszych funkcji psychicznych. Inni, nie świadomi tego wpływu, jaki materializm wywiera na ich poglądy, nie odrzucają bynajmniej pierwiastka

1) Patrz na ten temat obszerniejszy mój artykuł pt. „Nawyk czy sprawność", Wilno 1939 (Warszawa, Michalak).

duchowego, ale zajmują wobec niego dziwnie agnostyczne stanowisko, tak jakbyśmy o nim nic wiedzieć nie mogli. W szczególności nie rozumieją oni, że i czynniki duchowe naszej jaźni mają także swoją własną plastyczność osobnego rodzaju, że i one winny być usprawnione na swój sposób. W praktyce przeto i oni postępują jak materialiści i sprowadzają całe wychowanie do nadania pewnych stałych nawyków naszym niższym czynnikom zmysłowym, nie zajmując się wcale dziedziną duchową.

Fatalnym następstwem takiego stanowiska jest to, że cała dziedzina wychowania jest pod znakiem automatyzacji, zmechanizowania, co jest właściwością nawyków w dziedzinie zmysłowej, a wychowanie swobodnej samodzielnej sprawności duchowych czynników naszej psychiki, jeśli nawet nie jest negowane, to jest zupełnie pomijane milczeniem.

My ze swej strony nie myślimy bynajmniej odrzucać lub lekceważyć wyników badań i obserwacji psychologii nowożytnej w dziedzinie powstawania nawyków. W całokształcie wychowania moralnego odgrywają one wprawdzie nie wyłączną, ale nie mniej ważną rolę; toteż wszystko co się da dokładnie poznać odnośnie do ich powstawania, rozwoju i zanikania, winno być jak najsumienniej zużytkowane.

Jednocześnie jednak trzeba będzie powrócić do starych doktryn o usprawnieniu władz duchowych, bo one to dopiero dadzą nam całkowitą

odpowiedź na to podstawowe zagadnienie życia moralnego, jakim jest istota cnoty i wady.

W każdej cnocie jak i w każdej wadzie jest zawsze pewne stałe usprawnienie duchowe, któremu podlegają dwie naczelne funkcje ducha: rozum i wola. Usprawnienie to polega na nabyciu pewnej łatwości osądzenia i postanowienia, co w każdym poszczególnym wypadku należy zrobić, aby zadośćuczynić powstałemu w duszy pragnieniu. Otóż łatwość ta nie dotyczy tylko rozumu, jego zdolności sądzenia i rozumowania, ale dotyczy i woli, która ma za zadanie, mocą swego pożądania, dokonywać wyboru. Ma ona możność i na sam proces rozumowania wpływać i zatrzymywać go na tym sądzie, jaki jej odpowiada. Ta sprawność funkcji umysłowych jest istotnym składnikiem każdej cnoty, jak i każdej wady, i tym właśnie różnią się one od nawyków niższego rzędu, które człowiek odruchowo popełnia, bez żadnego zastanowienia. Ten czynnik umysłowy zostaje sprowadzany do minimum, tam gdzie to usprawnienie jest całkowite, tj. w formalnej cnocie i w formalnej wadzie dobrze już zakorzenionych, ale zawsze być tam musi[2]). Jest on rezultatem poprzednich postanowień rozumu i woli, i im bardziej one były intensywne i stanowcze, tym mniej w późniejszej działalności cnoty lub wady jego interwencja jest widoczna. Z początku człowiek dłużej musiał się zastanawiać i nawet

---

2) Patrz u św. Tomasza Qu. Disp. de Veritate, qu. 24, art. 12 c. Qu. Disp. de Virtutibus, art. 9, c.

zmagać się z sobą, nim się na coś zdecydował, nim sformułował sobie wewnętrznie jak postąpić w danych okolicznościach; z czasem, gdy nabył w tej dziedzinie cnoty lub wady, zaczął to robić coraz szybciej, sprawniej, bez wahań, z coraz lepszym umiarem i zastosowaniem do swoich celów i pragnień. Obserwowany z zewnątrz robi on wtedy wrażenie, że się nie zastanawia wcale, że naprawdę postępowanie jego zostało zmechanizowane. Tymczasem nastąpiło tam pewne zkapitalizowanie doświadczenia, które pozwala coraz mniejszym wysiłkiem utrzymywać umiar w czynach i w każdym poszczególnym wypadku postępować akurat tak jak potrzeba.

Tym się też tłumaczy ta obawa przed zmechanizowaniem życia moralnego przez cnotę, którą spotykamy u Kanta i u tylu nam współczesnych. Oto czynnik rozumowy, sprowadzony do minimum, bo działający na mocy skapitalizowanego doświadczenia jest trudno dostrzegalny, natomiast o wiele wyraźniej występuje czynnik niższy, zmysłowy, mający wiele wspólnego z nieświadomymi nawykami.

Bo i w samej rzeczy we wszystkich cnotach i wadach, oprócz tego usprawnienia czynności rozumu i woli jest jeszcze i drugi czynnik w postaci usprawnienia niższych funkcji zmysłowych, które każdej naszej czynności umysłowej towarzyszą.

W jednych z nich będzie on odgrywał nawet główną rolę, w innych tylko dodatkową, ale we wszystkich być musi. Idzie tu przy tym nie tylko

o pożądawcze władze zmysłowe, tzn. o dziedzinę uczuć, które zawsze współdziałają mniej lub więcej z naszym życiem duchowym, ale i o władze poznawcze, jak wyobraźnię, pamięć, rozsądek zmysłowy, które też dostrajają się do wymagań cnót i wad. Jest nawet coś więcej; oto to stałe usposobienie czynników wewnętrznych, umysłowych i zmysłowych, odbija swe piętno i na funkcjach, motywach zewnętrznych, jako to ruchach i postawie ciała, wyrazie twarzy, szczególnie oczu. Pewne cnoty również jak i wady mają bardzo wyraźną fizjognomię zewnętrzną, po której można poznać co się wewnątrz w człowieku dzieje, czy panuje nad sobą przez cnotę, czy też jest opanowany przez jakąś wadę.

Widzimy tedy, że cnoty i wady są czymś bardzo złożonym. Zaiste są to kompleksy, na które składają się różne czynniki; idzie tylko o to aby je wszystkie uwzględnić, a nie zatrzymywać się tylko na bardziej dostrzegalnych i łatwiej podlegających obserwacji czynnikach zmysłowych. W tym kompleksie psychicznym, jakim jest cnota i wada, najważniejszym jest dobrze zrozumieć rolę czynnika umysłowego, to usprawnienie rozumu i woli do szybkiego stanowienia w jakiejś określonej materii. On to odróżnia je od nieświadomych nawyków, i na nim główna uwaga w pracy wychowawczej winna byćześrodkowana.

Gdy idzie o wady, to czynnik ten umysłowy sprawia, że oprócz nakłaniania do grzechu w danej materii wpływa on hamująco i na inne dzie-

dziny czynu i zanieczyszcza przeto całe życie moralne. Człowiek, który dał się opanować przez jakąś wadę, tak iż zdecydowany jest sobie pozwolić na każdy czyn, który by zaspakajał jej pożądanie, wszystko sprowadza do tego jednego punktu; wszystkie jego postanowienia nawet w dziedzinach najmniej z tą złą skłonnością związanych, zawsze będą w mniejszym czy większym stopniu ulegać temu nastawieniu umysłowemu, które mu wada narzuci.

Człowiek łakomy, żyjący pod ciągłą obsesją jedzenia i picia, całe swe życie i obowiązki zawodowe, porządek i rozkład zajęć, stosunki towarzyskie itd. będzie układał zależnie od tego, jak dadzą mu możność zaspokoić chęć dogodzenia sobie przy stole. Jak często oderwie go ona od najważniejszych obowiązków i wpłynie paraliżująco na dziedziny życia, w których miał wszelkie dane do nabycia głęboko ugruntowanej cnoty. Gorzej jest jeszcze z nieczystością, która o wiele silniej opanowuje psychikę człowieka i zdolna go popchnąć do wiele gorszych przewinień. Wiadomo jak służba szpiegowska umie operować tą namiętnością, która zdolna jest człowieka popchnąć do podeptania najświętszych zobowiązań i własnego swego honoru.

Niemniej paraliżująco działają i inne wady bardziej duchowej natury, jak próżność, zawiść, zniechęcenie, skąpstwo. To ostatnie, nawet gdy nie przybiera formy krańcowej graniczącej z manią, ma też dziwnie hamujący wpływ na całe życie moralne, koncentrując uwagę na tym co jest tak

wyłącznie środkiem i odrywając ją ustawicznie od tego, co jest celem. Skąpy do każdej sprawy podchodzi od strony kosztów, wydatków z nią związanych ; sama jej doniosłość jest zawsze sprawą drugorzędną: najważniejszym względem jest, aby nie wiele kosztowało.

I zwróćmy uwagę na to, że ten hamujący wpływ wady nie tylko wtedy się zaznacza gdy jest ona już formalnie ukonstytuowaną, tzn. gdy człowiek dał jej pełne prawo obywatelstwa w swej duszy i gotów jest zawsze iść za jej impulsami aż do grzechu śmiertelnego włącznie. Bynajmniej, nawet tam, gdzie nie doszła do tego stopnia rozwoju, może już bardzo silnie zanieczyszczać życie moralne i uniemożliwiać pełny rozwój innych cnót, o ile człowiek nie uświadomił jej w sobie i nie spostrzegł jak mu się do wszystkiego miesza i wszędzie swoje trzy grosze wciska. Tam gdzie nie jest jeszcze formalną wadą, tj. gdy człowiek przed nią nie kapitulował, nie pozwoli mu ona na każdy grzech, sumienie bowiem nie jest jeszcze przez nią zupełnie zagłuszane i wobec niebezpieczeństwa grzechu śmiertelnego podniesie alarm i będzie się starało działać wstrzymująco. A jednak i wtedy gdy do pełni nasilenia, nie dochodzi, wada silnie zanieczyszcza całe życie wewnętrzne przez to, że wszystkimi jego czynnikami, uczuciem, pamięcią, wyobraźnią wpływa na kształtowanie się postanowień rozumu i woli.

Dostrzec niebezpieczeństwo tego cichego i ustawicznego wpływu, jaki wada niedostatecznie

opanowana, wywiera na całe życie moralne, jest dla sumienia o wiele trudniej, niż ustrzec się przed pojedyńczym grzechem. Jak często strzegąc przed cięższymi upadkami, będzie ono jednocześnie tolerowało to promieniowanie złej skłonności na inne dziedziny czynu, a to dlatego, że nie dojrzało konieczności wyrwania zła z korzeniem i pielęgnuje dalej w duszy to złe nastawienie, pozwalające na sądzenie wszystkiego pod kątem widzenia owej wady. Jakże uderzającym jest to np. w skąpstwie, nawet wtedy gdy nie całkowicie opanowało człowieka i do grzechów śmiertelnych go nie doprowadza! Jak strasznie takie półskąpstwo lub ćwierćskąpstwo paraliżuje swym zgubnym przywiązaniem do bogactw najszlachetniejsze porywy duszy!

I oto staje przed nami bardzo ważne zadanie dla pracy wychowawczej i samowychowawczej, zadanie któremu mają służyć i kierownictwo duchowe doświadczonego spowiednika i wszelkiego rodzaju rekolekcje i systematyczny rachunek sumienia, a mianowicie przeniknąć do głębi duszy i odkryć w niej te zarodki wad, które się tam formują. Nie zadawalniać się tylko wystrzeganiem się grzechów czy to śmiertelnych, czy powszednich, ale poszukać jakie są ich głębsze sprężyny i zbadać, czy się tam już zaczął wytwarzać ten kompleks, który ma swe jądro w samej woli lgnącej do danej skłonności i urabiającej wedle jej wymagań praktyczną działalność rozumu.

Tam jest sam korzeń zła, do którego należy siekierę przyłożyć, bez tego wszystkie inne za-

biegi żadnych nie dadzą rezultatów. Trzeba tam do samego zarodku zła dotrzeć i doprowadzić do tego, aby wola oderwała się od tej skłonności do złego, która ją pociągała i aby przestała paraliżować swym wpływem działalność roztropności w rozumie. To zaś można zrobić tylko przez podniesienie jej aspiracji wyżej do dóbr wiecznych, jedynie zdolnych ją zadowolnić. Nie można się ograniczać do dolnych zmysłowych składników zwalczanej wady, gdy się chce dusze radykalnie z niej wyleczyć, ale trzeba dotrzeć do górnych, do tych, które za nasze życie moralne ponoszą odpowiedzialność. Na miejsce tej sprawności umysłu do kierowania wszystkich naszych czynów po linii tej lub innej złej skłonności, będącej głównym składnikiem każdej wady, należy starać się ugruntować w duszy o wiele potężniejszą sprawność do sądzenia wszystkiego pod kątem wieczności, pod kątem prawd wiary, do kierowania całego naszego życia po linii tych dóbr wiecznych.

Nieraz długa to będzie praca, ale zawsze od tego trzeba będzie zacząć, od zbudowania mocnego fundamentu przekonań, któreby były źródłem natchnienia dla całego postępowania. Przedmiotem tych przekonań są prawdy wieczne, które stają przed nami nie tylko jako prawdy, ale i jako dobra, i które pociągają zarazem nasz rozum przez wiarę, jak i naszą wolę przez nadzieję i miłość. Te trzy naczelne cnoty naszego życia duchowego, a wraz z nimi i wszystkie inne cnoty moralne, mają w nas też wytworzyć pewien

kompleks nadprzyrodzony o zasięgu znacznie szerszym niż kompleksy wad i o bardziej jednolitej strukturze. On to nosi nazwę charakteru chrześcijańskiego, który jest największą wartością moralną człowieka, dając mu i wyraźny kierunek życia i stałość w dążeniu do wytkniętego celu. On to jest ową opoką, na której mądry człowiek buduje swój dom. „I spadł deszcz i przyszły rzeki i powiały wiatry i uderzyły na on dom, a nie upadł, bo był na opoce ugruntowany[3]).

O. Jacek Woroniecki O. P.

3) Mat. 7, 25.

ŚŚWW. APOSTOŁÓW PIOTRA I PAWŁA

Hodie Simon Petrus ascendit crucis patibulum... Hodie Paulus Apostolus... martyrio coronatus est.

„Dzisiaj Szymon Piotr wstąpił na szubienicę krzyża, — Alleluja! Dzisiaj klucznik królestwa (niebieskiego) radując się poszedł do Chrystusa. Dzisiaj Paweł Apostoł, światłość okręgu ziemi, skłoniwszy głowę, dla imienia Chrystusa męczeństwem został uwieńczony, Alleluja!"

Takimi triumfalnymi słowy streszcza Kościół przedmiot uroczystości dzisiejszej, w pięknej antyfonie do Magnificat II-gich Nieszporów.

Dzień 29 czerwca obchodzony był w Rzymie od niepamiętnych czasów jako „dies natalis Apostolorum", dzień narodzin dla nieba — tak starożytność chrześcijańska nazywała śmierć — św. Apostołów Piotra i Pawła. W dniu tym bowiem ci dwaj książęta Apostołów ponieśli śmierć męczeńską za Nerona, w 67 roku naszej ery[1]).

Prudencjusz, poeta chrześcijański IV-go wieku, w sławnym poemacie na cześć Apostołów, nazywa dzień

---

1) Wprawdzie nowsza krytyka podaje tę datę w wątpliwość, lecz nie umie ustalić naukowo innej, ani co do dnia i miesiąca, ani nawet co do roku.

29 czerwca „dniem podwójnego święta“ — *dies bifestus* — bo odbywały się w nim dwa nabożeństwa papieskie, dwie „stacje“: jedna w bazylice św. Piotra na Watykanie, druga w bazylice św. Pawła na drodze Ostyjskiej. Wspomina o tym tymi słowy:

„Tyber wpływając do Rzymu wita grób św. Piotra, a wypływając z miasta pozdrawia grób św. Pawła. Klucznik niebieski obrał sobie miejsce spoczynku wśród Miasta Wiecznego, które jest obrazem nieba. Po przeciwnej stronie Paweł strzeże murów Apostolskiego Grodu: obaj wzięli Rzym w swą potężną opiekę“ (Peristephanon, Hymn XII).

Z czasem jednak, z powodu znacznej odległości między tymi dwoma kościołami, oraz z powodu wielkich w tej porze roku upałów, przesunięto drugą stację, u Apostoła narodów, na dzień następny, i stąd powstała w kalendarzu liturgicznym „komemoracja św. Pawła“, w dniu 30-tym czerwca. To tłumaczy nam, dlaczego Msza z 29-go, „Nunc scio vere“, zajmuje się wyłącznie św. Piotrem; jedynie kolekty wspólne są obu Apostołom.

„Szymonie Janów, miłujesz mnie?“ zapytał Jezus po trzykroć Piotra, zanim mu zwierzył najwyższą władzę na ziemi. Piotr zaparł się był po trzykroć Mistrza swego, w czasie Męki i zaparł się z przysięgą: *coepit anathematizare et jurare* (Marek, XIV, 71), że „nie zna owego człowieka“. Pan pozwolił na ten haniebny upadek, aby Piotr, wyniesiony do godności Namiestnika Chrystusowego w Jego Kościele, umiał wyrozumieć tych, co grzeszą przez słabość, i podał im rękę pomocną do powstania.

„Szymonie Janów, miłujesz mnie?“ — Nie pyta go: „czy wierzysz we mnie?“ — „czy będziesz miał dość siły i wytrwałości?“ — „czy będziesz miał zdolności potrzebne do sprawowania tak odpowiedzialnego urzędu?“ — Pyta go o miłość. A Piotr nauczony smutnym doświadczeniem, nie ufa sobie, nie mówi zarozumiale jak niegdyś: „Panie, z tobą gotów jestem iść i do więzienia i na śmierć!“ (Łuk. XXII, 33), lecz odpowiada z najgłębszą pokorą: „Panie, ty wszystko wiesz! Ty wiesz, że Cię miłuję!“

Na to trzykrotne wyznanie miłości otrzymuje Piotr trzykrotne zlecenie: „Paś jagnięta moje, — paś baranki moje, — paś owce moje!“ (Jan XXI, 15-18)[2]).

Odtąd Piotr, a za nim jego następcy — stał się głową Kościoła nauczającego i słuchającego, baranków i owiec; stał się Pasterzem najwyższym, zastępcą boskiego Dobrego Pasterza, Ojcem chrześcijaństwa, *dolce Cristo in terra* — jak nazywała Papieża św. Katarzyna Seneńska. Dlatego przy koronacji namiestnika Chrystusowego słyszeliśmy niedawno te słowa: „Weźmij tiarę, potrójną koronę, i wiedz, żeś Ojcem książąt i królów, sternikiem świata, Namiestnikiem na ziemi Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, któremu cześć i chwała na wieki wieków. Amen“.

---

2) Takie stopniowanie wykazuje grecki oryginał w niektórych rękopisach, np. w „Kodeksie Watykańskim“: a r n i a, p r o b à t i a, p r ó b a t a. Stąd św. Ambroży, w komentarzu swym na św. Łukasza, pisze: „Et jam non agnos, nec oviculas, sed oves pascere jubetur“. — Wulgata natomiast ma: a g n o s, a g n o s, o v e s. (Por. Fouard, „Vie de N. S. Jésus Christ“, tome II, p. 426).

Ale wnet po tej zapowiedzi najwyższej w Kościele Bożym godności, dodaje Chrystus zapowiedź męki i śmierci Piotrowej: „Gdy byłeś młodym, opasywałeś się i chodziłeś kędyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twe, a inny cię opasze i poprowadzi tam, gdzie ty nie chcesz". (Jan XXI, 18-19).

Oto dziś nadszedł ten dzień, w którym Piotr opasany łańcuchami więziennymi miał wyciągnąć ręce na krzyżu i śmiercią podobną do zgonu Mistrza swego przypieczętować tę miłość, potrójnie zapewnioną nad jeziorem Tyberiadzkim.

Od dłuższego czasu trzymano św. Piotra w lochu Mamertyńskim u stóp Kapitolu[3]); dziś jeszcze pokazują tam miejsce, gdzie był przykuty do ściany i cudowne źródełko, które na jego modlitwę wytrysnęło ze skały, aby mógł ochrzcić swych stróżów więziennych, Processusa i Martyniana. O świcie 29 czerwca wyprowadzono go stamtąd, aby go ukrzyżować. Według prawa rzymskiego został najpierw ubiczowany, co było zwykłym preludium do kary śmierci dla nie-obywateli rzymskich. Oddział żołnierzy eskortował następnie Apostoła na stracenie, za miasto, *extra pomerium*, jak wymagało toż prawo rzymskie.

Podanie mówi, że Piotr i Paweł stanęli razem przed sądem, który skazał jednego na ukrzyżowanie na wzgórzu Watykańskim a drugiego na ścięcie za bramą Ostyjską, u źródeł zwanych Aquae Salviae; że prowadzono ich razem na śmierć aż do miejsca na via Ostiense, gdzie rozchodziły się ich drogi; dziś stoi

---

3) Opowiadanie następujące oparte jest na Dom Guéranger: „Ste Cécile et la société romaine aux premiers siècles".

tam na wpół zapadła kapliczka z archaiczną płaskorzeźbą między dwoma kolumienkami, przedstawiającą dwóch mężów, ściskających się serdecznie. Na tablicy wypisane są słowa pożegnania obu Apostołów, współpracowników w winnicy Pańskiej[4]). Tradycja ta, acz niezbyt pewna, odbiła się echem w pięknej antyfonie z dnia oktawy św. Piotra i Pawła: „Gloriosi principes terrae, quomodo in vita sua dilexerunt se, ita et in morte non sunt separati". (Chwalebni książęta świata, tak jak za życia miłowali się, tak i w śmierci nie są rozłączeni).

Na prawym brzegu Tybru, naprzeciw Pola Marsowego, rozciągała się u stóp wzgórza Watykańskiego niewielka równina, do której prowadził most, Triumfalnym zwany, bo tuż za nim zaczynała się starożytna via Triumphalis. Tam znajdowały się rozkoszne ogrody Nerona, niedawno oświecane żywymi pochodniami, które uwiecznił nasz Siemieradzki na słynnym obrazie w krakowskich Sukiennicach. Na końcu tych ogrodów

---

4) Napis ten jest nie po łacinie, lecz włoszczyzną średniowieczną, dość do łaciny podobną i opiera się na nieautentycznym liście św. Dionizego Areopagity:

In questo luogo si separarono S. Pietro et S. Pavolo, andando al martirio; et dice Pavolo a Pietro:

La pace sia con teco, fundamento
Della Chiesa et pastore di tutti
Li agnelli di Christo.
Et Pietro a Pavolo:
Va in pace, predicatore dei buoni
Et guida de la salute dei justi.

(W tym miejscu rozstali się św. Piotr i św. Paweł, idąc na męczeństwo; i rzekł Paweł do Piotra: „Pokój z tobą, fundamencie Kościoła i pasterzu wszystkich baranków Chrystusowych". A Piotr do Pawła: „Idź w pokoju, kaznodziejo dobrych i przewodniku zbawienia sprawiedliwych"). — Por. Mgr. Gerbet „Rome chrétienne", tome I, p. 22.

był cyrk Kaliguli, powiększony i ozdobiony przez Nerona; miejsce wyznaczone na stracenie Piotra wypadało między tym cyrkiem a wzgórzem watykańskim, naprzeciw obelisku, sprowadzonego z Egiptu przez Kaligulę, a zdobiącego dziś plac św. Piotra, — pod starym drzewem terebintowym, dobrze znanym rzymskiemu ludowi. Stąd wynikałoby, że krzyż Apostoła zatknięty był w miejscu, gdzie dziś czcimy stary posąg bronzowy św. Piotra pod czwartym filarem bazyliki, na prawo od jego grobu.

Miejsce to było dziwnie stosowne do wiekopomnej sceny, jaka się tu odegrać miała. Wzgórze Watykańskie miało zawsze dla Rzymian coś świętego i tajemniczego. Czcili oni tu odwieczny dąb, który wedle legendy pamiętał założenie Rzymu; szum jego liści uważany był za wieszczy, stąd nazwa miejsca tego *Vaticanus* (od *vaticinare* = przepowiadać). Tu miał skonać i spocząć w chwale ten dostojny starzec, któremu Chrystus przepowiedział, że będzie opoką, na której stanie Kościół Jego. Stanąwszy pod terebintem, Szymon Piotr poprosił swych katów, aby go ukrzyżowali głową na dół, gdyż nie jest godzien tak umierać, jak Mistrz jego i Pan. Wedle prastarej tradycji chrześcijańskiej, zadośćuczyniono tej niezwykłej prośbie. Po kilkugodzinnej męce, modląc się za Urbem et orbem i zraszając obficie krwią swoją tę ziemię rzymską, co miała wydać tak obfite plony, umarł Piotr z oczyma utkwionymi w niebo, wierny do końca miłości, zaprzysiężonej 33 lat temu, nad morzem Galilejkim: „T u s c i s q u i a a m o t e !“

Ciało Apostoła pochowano opodal jego krzyża, w tzw. „grotach watykańskich“. Gdy Konstantyn Wiel-

ki na początku IV-go wieku wzniósł nad jego grobem słynną bazylikę, grób ten czyli *confessio* składał się z dwóch izb, położonych jedna nad drugą ; obie były niżej posadzki kościoła, i schodzono do nich schodami o kilku stopniach. Wnętrze było sklepione i spoczywało na czterech kolumnach. Pośrodku był ołtarz, a w nim okienko, przez które można było zajrzeć do dolnej izby : tu stał potężny sarkofag z bronzu cypryjskiego z wielkim szczerozłotym krzyżem. Dziś jest on niewidoczny. Ostatni raz widziano go pod koniec XVI-go wieku. Ówczesny architekt nowej bazyliki, Giacomo della Porta, doniósł papieżowi Klemensowi VIII, że odkryli go robotnicy zajęci układaniem mozaikowej posadzki. Na tę wiadomość, papież w towarzystwie Bellarmina i dwóch innych kardynałów, zeszedł do podziemia i w świetle pochodni przyglądał się złotemu krzyżowi na spiżowym monumencie. Potem kazał w swojej obecności zamurować wejście do komnaty grobowej ; w górnej zaś bazylice postawił tuż nad nią piękny ołtarz, który dziś jeszcze widzimy. Wielce niegustowny baldachim barokowy wzniósł nad tym ołtarzem Benrini, w XVII wieku, używszy do tego dachówek ze złoconego bronzu, zdartych z Panteonu Agryppy. Ponieważ to się działo z rozporządzenia papieża Urbana VIII Barberini, powstało w Rzymie przysłowie : „Quod non barbari, fecerunt Barberini".

W górnym kościele, nad marmurową balustradą, otaczającą „konfesję" wśród wijących się splotów rzeźbionych liści i kwiatów, płonie dniem i nocą 89 lamp ze złoconego bronzu ; ponieważ szkiełka ich są czerwone, robi to zdaleka wrażenie kwitnącego klombu pąsowych róż. Drzwi ze złoconego spiżu, zamykające

zejście do właściwego grobu Książęcia Apostołów, pochodzą jeszcze z dawnej bazyliki Konstantyna. Miejsce to było uważane za tak święte i taką czcią było otoczone, że nawet Alaryk, wódz barbarzyńskich hord wizygockich, kazał uroczyście odnieść tu święte naczynia, przez żołdaków jego zrabowane.

Ponad „konfesją" wzbija się lekko ku niebu olbrzymia kopuła Michała-Anioła, z której spływają potoki światła, oblewając wielki ołtarz niby glorią niebiańską. Podniesiony w górę wzrok leci w dal niedościgłą, i spuściwszy się z tych zawrotnych wyżyn, czyta biegnący w koło na fryzie napis skreślony mozaikowymi, na dwa metry wysokimi literami:

TU ES PETRUS ET SUPER HANC PETRAM AEDIFICABO ECCLESIAM MEAM.

***

Lewy brzeg Tybru był widownią męczeństwa św. Pawła. Dawne podanie niesie, że tuż za bramą miejską zabiegła drogę orszakowi skazańca szlachetna Plautilla, córka prefekta Flawiusza Sabinusa i Plautii, godna ze wszech miar świętej babki swej, matrony Lucyny. Uczennica i córka duchowna św. Pawła, żegnała ona mistrza swego ze łzami, polecając się jego modlitwom: „Idź w pokoju Plautillo, córko moja — rzekł do niej Paweł; — pożycz mi tylko twej zasłony, dla zawiązania oczu. Zwrócę ci ją, jako nagrodę za twe dziecięce przywiązanie i jako zakład miłości mej ku Chrystusowi Panu, w chwili gdy pójdę do niego". Plautilla zdjęła natychmiast swój welon i podała go Apostołowi. Wódz kohorty dziwił się wielce, że dama tak dostojne-

go rodu oddaje taką usługę zwykłemu skazańcowi. Lecz Paweł rzekł z łagodną powagą: „Dzięki ci, córko. Czekaj tu, a niebawem żyjąc już z Chrystusem, oddam ci tę zasłonę ze znakami mego męczeństwa“.

Przy drugim kamieniu milowym drogi Ostyjskiej, żołnierze prowadzący Pawła skręcili ścieżką prowadzącą na wschód do źródeł Salwijskich, do miejsca naznaczonego na egzekucję. Apostoł narodów ukląkł na krótką modlitwę. Potem zawiązawszy sobie oczy zasłoną Plautylli przyjął cios śmiertelny. Głowa jego padła na murawę i potoczywszy się po pochyłości, podskoczyła trzy razy: natychmiast, mówi legenda, wytrysnęły w tych miejscach trzy źródła. Kościół dzisiejszy Tre Fontanne, — w posiadaniu francuskich Trapistów, którzy zasadzili to miejsce, dawniej nawiedzane malarią, gajem eukaliptusowym, — jest zbudowany na stoku w trzech kondygnacjach; każda z nich ma ołtarz, a pod ołtarzem tryska źródło pamiątkowe. Tradycja ta jest bardzo dawna: już św. Jan Chryzostom w V wieku o niej wspomina.

Po egzekucji żołnierze wracali do miasta, gdy zbliżając się do bramy Tergemina, ujrzeli stojącą tam Plautillę, z nieosłoniętą głową. „I cóż, szlachetna pani?“ rzekł drwiąco oficer kohorty, — „oddał ci Paweł twoją zasłonę?“ Na to Plautilla wyjęła z zanadrza kosztowną tkaninę zbroczoną krwią męczennika, i ukazała ją zdumionym i przerażonym oprawcom. Bezcenną tę relikwię przechowywano długo w cesarskim rodzie Flawiuszów. Później zaginęła ona bez śladu.

Wiadomo, że prawo rzymskie bez trudności oddawało zwłoki straconych rodzinie i przyjaciołom. *Gens Cornelia,* pomna na nawrócenie rotmistrza ko-

horty Italskiej, Korneliusza z Cezarei, przez św. Piotra, zażądała jego ciała i pochowała je ze czcią na Watykanie. *Gens Flavia* w osobie szlachetnej matrony Lucyny, pogrzebała zwłoki Pawła, składając je w hypogeum nad Tybrem, opodal Aquae Salviae, zwanem od niej Coemeterium Lucinae. Ponieważ miejsce to było narażone na częste wylewy rzeki, sarkofag Apostoła został umieszczony na wysokim podmurowaniu, tak że dziś jeszcze przez okienko pod ołtarzem konfesji oko pielgrzyma może dojrzeć płytę marmurową zamykającą grób, z tym starożytnym napisem z epoki Konstantyńskiej :

PAVLO APOSTOLO MARTYRI.

Przy końcu IV wieku cesarze Walentynian II, Teodozjusz i Arkadiusz zbudowali na miejscu niewielkiego kościółka, fundowanego przez Konstantyna, wspaniałą świątynię, która przez 1400 lat była najpiękniejszym kościołem w Rzymie. Pożar, wzniecony przez nieostrożność zniszczył ją niemal doszczętnie w roku 1823, obracając w perzynę drogocenne dzieła sztuki, kosztowne mozaiki i marmury. Zdołano na szczęście uratować absydę z grobem Apostoła. Dźwignął bazylikę z popiołów papież Leon XII, przy współudziale całego chrześcijańskiego świata, a następcy jego, zwłaszcza Pius IX, nie szczędzili starań i kosztów, aby przywrócić jej dawną świetność.

Bazylika San Paolo fuori le mura zadziwia ogromem i olśniewa wspaniałością. Cztery rzędy korynckich kolumn granitowych dzieli ją na pięć naw. Nad architrawem biegnie fryz złożony z 260 kilku okrągłych mozaikowych portretów wszystkich papieży, po-

cząwszy od św. Piotra: jest to najdawniejsza i najbardziej imponująca dynastia na świecie, bo panująca jedynie w królestwie ducha. Nad 80 kolosalnymi monolitami alpejskimi sprowadzonymi z Simplonu rozciąga się płaski strop złocisty, w bogate wyrabiany kasetony. Posadzka marmurowa, wykładana w barwne arabeski, lśni jak tafla zwierciadlana; w niej odbija się jak w cichej wodzie las potężnych kolumn.

Mozaika absydy pochodząca z XIII-go wieku została ocalona i naprawiona: Styl jej czysto bizantyjski: Chrystus Pan na tronie — Pantokrator — błogosławi świat wyciągniętą prawicą; u stóp jego klęczy papież Honoriusz III, za którego tę mozaikę wykonano. Daleko starszą jest wyrwana z płomieni mozaika tzw. łuku triumfalnego, dzielącego absydę od nawy; sięga ona bowiem V-go wieku. Przedstawia w kole popiersie Zbawiciela otoczone promieniami; z obu stron symbole czterech Ewangelistów, a niżej scena z Apokalipsy: 24 starców rzuca korony swoje przed tronem Bożym, hołdując Chrystusowi.

Nie tylko całe chrześcijaństwo przyczyniło się darami swymi do odbudowania i upiększenia Paulińskiej bazyliki po onym groźnym pożarze; nawet Islam złożył jej haracz w postaci sześciu przejrzystych kolumn ze wschodniego alabastru, ofiarowanych Grzegorzowi XVI-mu przez wicekróla egipskiego. Dwie stoją przy głównych drzwiach, cztery zaś podtrzymują baldachim nad wielkim ołtarzem. Malachitowe ich podstawy są darem cara Mikołaja I-go.

Pod łukiem triumfalnym spoczywają zwłoki św. Pawła, w krypcie wyłożonej czerwonym marmurem

i serpentynem, których dostarczyły kopalnie Peloponezu. Prócz wspaniałego baldachimu, ocienia wielki ołtarz mniejsze nieco „ciborium" gotyckie z XIII wieku, dzieło braci del Cambio, uratowane z pożaru 1823 r. Nad grobem Apostoła narodów czytamy słowa, które sam Bóg wyrzekł o nim w widzeniu Ananiasza z Damaszku: „On mi jest naczyniem wybranym" (Dzieje Apost. IX, 15): VAS ELECTIONIS.

Główna fasada kościoła, zwrócona ku Tybrowi, jaśnieje piękną mozaiką na tle złotym: Chrystus w pośrodku, ze św. Piotrem i Pawłem, oraz czterech Proroków. Perystyl bazylikowy opiera się na olbrzymich kolumnach granitowych z jednej sztuki, sprowadzonych z Simplonu.

Stróżami bazyliki św. Pawła są od niepamiętnych czasów Benedyktyni z Monte Cassino, toteż można tam słyszyć najczystszy śpiew gregoriański, dość rzadki w Rzymie. Opactwa zwiedzać nie można, ale dostępny dla publiczności jest prześliczny dziedziniec klasztorny — chiostro — dzieło XIII-go wieku, z epoki najświetniejszego rozkwitu architektury romańskiej we Włoszech. Bogata fantazja artystyczna cechuje tzw. „styl Cosmatich" (rodziny rzymskich rzeźbiarzy tej epoki): inkrustują oni biały marmur delikatnymi deseniami mozaikowymi w kolorach złotym, czerwonym i czarnym, co sprawia niezrównanie harmonijne wrażenie. W chiostro di San Paolo fuori le mura stanęły w równych odległościach filary marmurowe, a między nimi stoją parami, podtrzymując romańskie arkady, przecudne kolumienki o przeróżnych kształtach: jedne gładkie i proste, o bogatych kapitelach korynckich, drugie wyżłobione w śrubę, inne podobne do skręco-

nych lin, inne pionowo kanelowane. Nad arkadami biegnie stylowo romański fryz, w którym średniowieczny artysta puścił wodze bujnej fantazji, rzucając nań splątany chaos gryfów, orłów, papug, kwiatów i stylizowanych liści. Mozaikowy napis świadczy, że to arcydzieło, uratowane z płomieni, zostało zaczęte przez opata Piotra z Kapui, w roku 1198, ukończone zaś za Jana V-go w roku 1241[5]).

W środku dziedzińca wirydarz z fontanną, palmami i klombami kwiatów. Pod arkadami „chiostra", w krużgankach klasztornych, mnóstwo cennych zabytków, uratowanych w czasie pożaru: starożytne napisy, fragmenty rzeźb, sarkofagi starochrześcijańskie itp.

Do niedawna opatem św. Pawła był uczony Benedyktyn, Dom Ildefons Schuster, autor słynnego dziś „Liber Sacramentorum"; 1929 roku Pius XI mianował go kardynałem i arcybiskupem Mediolanu, którą to stolicę, jedną z najprzedniejszych we Włoszech, sam zajmował przed wstąpieniem na Stolicę Piotrową.

***

Przyjrzyjmy się teraz liturgii brewiarzowej święta Książąt Apostołów, jest ona bowiem bogatsza i więcej urozmaicona od mszalnej. W I Nokturnie Jutrzni dzisiejszej czytamy rozdział III Dziejów Apostolskich, czyli ten sam ustęp, który służy za Epistołę we Mszy wigilijnej, 28-go czerwca: Św. Piotr i św. Jan uzdrawiają chorego u drzwi świątyni jerozolimskiej, lecz

5) Podobne „chiostro" można oglądać przy bazylice Lateraneńskiej.

główną rolę gra tu Piotr. W responsoriach zebrano najpiękniejsze teksty Ewangelii tyczące się św. Piotra: zlecenie mu kluczy królestwa niebieskiego, nadanie władzy związywania i rozwiązywania; oswobodzenie Piotra z więzienia Herodowego, modlitwa Zbawiciela za nim, aby się nie zachwiała wiara jego, wyznanie Piotra w stronach Cezarei Filipowej: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego".

Wspaniałe jest w II Nokturnie kazanie św. Leona Wielkiego *in Natali SS. Petri et Pauli,* w którym przebija szlachetna duma Rzymianina, miłującego nade wszystko swoje Miasto: „Isti enim sunt viri, per quos tibi Evangelium Christi, Roma, resplenduit... Isti sunt patres tui verique pastores, qui te... multo melius multaque felicius condiderunt, quam illi, quorum studio prima moenium tuorum fundamenta locata sunt"[6]).

W III Nokturnie św. Hieronim komentuje ewangelię mszalną w pięknej homilii.

Hymn Laudesów *Beate pastor Petre,* tworzący część hymnu nieszporowego, o którym niżej, jest dziełem uczonej i utalentowanej niewiasty V wieku, małżonki chrześcijańskiego filozofa Boecjusza: jest nią Sycylianka Elpis. Oto jego przekład:

„Błogosławiony pasterzu, Piotrze, przyjmij łaskawie modły proszących; słowem twym rozwiąż więzy grzechowe, ty któremu dana jest władza zamykania nieba ziemianom lub otwierania go.

---

6) „Ci są mężowie, przez których zajaśniała tobie, Rzymie, Ewangelia Chrystusowa... Ci są ojcowie twoi i prawi pasterze, którzy cię daleko lepiej i szczęśliwiej założyli, niż ci, za których staraniem podwaliny twoich pierwszych murów rzucone zostały".

„Nauczycielu najprzedniejszy, Pawle, naucz nas obyczajów (Bożych) i serca nasze pociągnij za sobą do nieba; a póki wiara widzi jeszcze południe (tj. pełną Prawdę) przez zasłonę, spraw niechaj Miłość króluje jako słońce".

Antyfony Laudesów i I Nieszporów wzięte są z Dziejów Apostolskich, prócz ostatniej, zapożyczonej u św. Mateusza (XVI, 18): *Tu es Petrus.* Ten tekst jest „Leitmotivem" całego dnia; powraca niezliczone razy w officium i we Mszy: jako antyfona, jako ewangelia, jako werset allelujatyczny, jako Komunia.

Wspaniały jest hymn nieszporowy Elpidy: „D e c o r a l u x a e t e r n i t a t i s":

„Jaśniejące światło wieczności opromieniło dzień złocisty, wieńczący Książąt Apostołów, a grzesznym torując wolną do nieba drogę.

„Klucznik niebieski i Nauczyciel świata, narodów sędzie, ojce Rzymu, ten przez miecz a tamten przez krzyż, zwyciężywszy śmierć, zasiadają uwieńczeni w senacie (wiecznego) życia.

„O Rzymie szczęśliwy, poświęcony chwalebną krwią tych dwóch Książąt, dzięki tej purpurze przewyższasz pięknością wszystkie razem miasta świata!"

Zwrotka ta w oryginale brzmi nadzwyczaj majestatycznie:

„O Roma felix, quae duorum principum
Es consecrata glorioso sanguine:
Horum cruore purpurata, ceteras
Excellis orbis una pulchritudines!"

Dziwić nas może, iż antyfony II Nieszporów są wzięte z Komunału Apostołów. Otóż właściwie rzecz

się ma odwrotnie: to Komunał Apostołów wzięty jest z dzisiejszego święta, i to co się początkowo stosowało jedynie do Książąt Apostołów, zostało z czasem rozciągnięte na wszystkie członki Kolegium Apostolskiego. To samo stosuje się i do Prefacji Apostołów, dawniej wyłącznie przeznaczonej na dzień 29 czerwca.

Introit Mszy *Nunc scio vere* zawiera słowa św. Piotra, gdy znalazł się nagle wolny, na ulicach Jerozolimy, oswobodzony przez Anioła z więzienia Herodowego: „Teraz wiem prawdziwie, iż Pan posłał Anioła swego i wyrwał mnie z ręki Heroda i ze wszystkiego oczekiwania ludu żydowskiego".

Tę samą scenę opowiada też Epistoła. Liturgia rzymska podkreśla z upodobaniem ten epizod z życia Apostoła, gdyż słowa, którymi św. Łukasz kończy swą opowieść, acz nie przytoczone w dzisiejszej lekcji brzmią: „A wyszedłszy, udał się na inne miejsce". (Dz. Ap. XII, 17). Tym „innym miejscem", wedle najdawniejszych tradycji, jest Rzym, gdzie w kilka tygodni potem znajdujemy św. Piotra. Dlatego w jednym z Responsoriów Jutrzni śpiewaliśmy, nawiązując do słów Anioła: „Powstań Piotrze, a włóż szaty twoje; opasz się mocą, aby zbawić narody; albowiem łańcuchy opadły z rąk twoich".

Ewangelia zawiera wspaniałe wyznanie Piotrowe, na zapytanie Zbawiciela: „Kim mienią być ludzie Syna człowieczego?... A wy, kim mię być powiadacie?" — A odpowiadając (za wszystkich) Szymon Piotr rzekł: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego!" — Na co usłyszał te słowa, *magna charta*

Papiestwa: „A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój".

Dopiero nazajutrz, 30-go czerwca, zajmuje się Kościół specjalnie św. Pawłem. Introit jego Mszy *Scio cui credidi,* wyraża bezgraniczną ufność w Tym, którego dawny prześladowca całą potęgą swej płomiennej duszy umiłował: „Wiem, komum zawierzył i pewienem, iż mocen jest depozytu mego strzec do onego dnia, sprawiedliwy sędzia" (II Tym. I, 12).

W Lekcji z listu do Galatów (I, 11-20) wielki Paweł oskarża się pokornie, iż dawniej „nad miarę prześladował Kościół Boży, będąc wielkim miłośnikiem ustaw ojczystych". Lecz Bóg chciał, aby właśnie ten zagorzały Faryzeusz stał się Apostołem narodów, i wyzwolił młodą społeczność chrześcijańską z więzów Judaizmu: „Lecz podobało się Temu, który... wezwał mię przez łaskę swoją, aby objawił Syna swego we mnie i abym Go opowiadał między poganami". Tę samą myśl powtarza *Doctor gentium* w Graduale, którego werset zawiera to sławne słowo z listu do Galatów: „Łaska Boża we mnie próżną nie była". Szczęśliwy, kto może sobie dać takie świadectwo!... Słynny konwertyta angielski, późniejszy kardynał Newman, dożywszy sędziwego wieku powiedział w obliczu śmierci: „Nie zgrzeszyłem nigdy przeciw światłu (against light)". — Werset allelujatyczny kończy się modlitwą: „Święty Pawle Apostole, głosicielu Prawdy i nauczycielu narodów, przyczyń się za nami, Alleluja".

Inne części zmienne Mszy św. wzięte są z uroczystości nawrócenia św. Pawła, 25 stycznia.

Na zakończenie warto przytoczyć myśl ks. biskupa Gerbet w pięknym jego dziele „Rome chrétienne" :

„Rzym pogański został założony przez dwóch braci, z których jeden zamordował drugiego. Miasto, które miało mieczem zapanować nad światem, zostało naznaczone na wstępie swego istnienia piętnem krwi bratniej, tak jak ongi pierwsze miasto zbudowane przez Kaina, ojca rodu biblijnych olbrzymów.

„Rzym chrześcijański miał jako założycieli dwóch mężów pokojowych jak Abel, ojciec rodu sprawiedliwych. Byli oni braćmi bardziej duchem niż ciałem ; umarli tą samą śmiercią męczeńską, w imię tej samej miłości, u bram tego samego miasta, tego samego dnia, tego samego roku... Dawne bratobójstwo zostało zastąpione boskim braterstwem, które przyświecało narodzinom nowego Rzymu, przeznaczonego do szerzenia po całej ziemi wraz z Ewangelią dogmatu o ogólnym braterstwie rodu ludzkiego".

S. M. Renata
Niepokalanka

GŁÓD NASZYCH KRESÓW

Jesteśmy w województwie wileńskim. Auto pędzi rozległą, do połowy szerokości trawą zarośniętą drogą. Śliczne jezioro wiszniewskie, otoczone lasem, wydaje się srebrną taflą w promieniach wschodzącego, jesiennego słońca; dalej jezioro świrskie, tworzące na horyzoncie błękitny pas, a za nim lasy, błota i moczary, którymi apostołowie bolszewizmu, fanatycy komuny, do nas się przedostają, a którędy też i nasi, żądni nowości i lepszego losu, uciekają do „raju bolszewickiego".

Przejeżdżamy przez Starą Wilejkę. Okolica piaszczysta, mało interesująca z punktu widzenia malarskiego, — ubóstwo panujące wśród ludności niemniej uderza niż w innych, świeżo z auta widzianych, miejscowościach. Dziwna rzecz, dzień powszedni, a w polach mało kogo widać, — przecież to jest czas kopania kartofli — zwykle wtedy rojno po zagonach. Nadto, w mijanych szybkim pędem wsiach, panuje nastrój świąteczny... Ach tak! — Dziś prawosławne święto Podwyższenia Krzyża św.: z cerkwi wysypuje się głośny tłum. Cichną monotonnie bijące dzwony, a ludzie w ten śliczny poranek wrześniowy wolno zdążają do domów. Mało snać jest tu katolików, bo wszędzie atmosfera święta — bezrobocia.

Po drodze wstępujemy do wiejskiego kościoła, którego architektura żywo przypomina katedrę wileńską. Z daleka zapraszająco świecił swoją białością. Wchodzimy... jaka różnica z zewnętrzem. Ubogo tu, nędznie, niedostatek panujący wśród parafian i tu się odbija!

Ale przejechać przez ten ciekawy, a centralnej Polsce mało znany kraj, to nie znaczy jeszcze z nim się zaznajomić. Trzeba pobyć dłużej, aby zobaczyć ile w nim wartości i możliwości leży ukrytych, ile z drugiej strony potrzeb wołających o zaradzenie i to szybko, koniecznie pod groźbą utracenia tego, co te wartości pozytywnego przynieść mogą. Stosuje się to i do strony materialnej, ale tu specjalnie chcemy mówić o bolączkach moralnych.

Ludność kresów wschodnich i wschodnio północnych wystawiona jest na dwa silne, choć nie równolegle działające wpływy: komunizmu i prawosławia. Ten ostatni może się dotychczas nieco lekceważyło. Ciemni popi, stojący na tym samym poziomie moralnym i umysłowym co ich wierni, nie byli zbyt niebezpiecznym elementem, gdy wykształceni księża katoliccy stanowili z nimi jaskrawy kontrast. Dziś jednak sytuacja jest inna. Z warszawskiego studium teologii prawosławnej wychodzą wykształceni ludzie, na modłę zachodnią urobieni, ubierający się z małą różnicą jak nasi księża i tym niebezpieczniejsi, im niebezpieczniejsza jest nauka w służbie błędu od nieświadomej siebie ciemnoty. Widząc jaką siłą w Kościele katolickim są organizacje, zakładają i oni stowarzyszenia do nich zbliżone. Jednym słowem, upodabniają swój sposób pracy do naszego i stają się przez to współzawodni-

kami nie do pogardzenia. Wiemy, że na gruncie kresów kwestia religii staje się automatycznie sprawą narodowościową, a w tym wypadku działanie popów jest wybitnie szkodliwe w obu kierunkach. Nawet małe dzieci czują przedział jaki między nimi religia stwarza: skończyło się przedstawienie w przedszkolu, aktorowie dostają obrazki; jedna dziewczynka samotnie stoi w kącie. Wołam ją; — Jej nie potrzeba — interweniują tamte — ona „ruska"! — mimo że nazwisko czysto polskie. Społeczeństwo 5-o, 6-o-letnie tak reaguje na tę palącą kwestię, a co między starszymi się dzieje? — Mimowolnie grawitują tam, gdzie jest wspólnota wyznania, gdyż ono jest jednak najsilniejszym wśród ludzi węzłem.

Komunizm, ten drugi prąd idący wbrew nurtowi katolickiemu i polskiemu, wciska się w ludność wszelkimi sposobami. Sprzymierzeńcem jego jest bieda ogólnie na kresach panująca i to mu ułatwia rozszerzanie się niestety szybkie. Mikroby bolszewickie wszędzie się dostaną i znajdą sobie grunt odpowiedni do rozwoju. W zapadłej wsi, gdzie zdawałoby się prądy zachodnio czy wschodnio europejskie nie miały jak dotrzeć, odzywa się w szkole dzieciak do nauczycielki: „A mnie bat'ko powiedział w domu, szczo Pani wsio bresze"! „Dom" ten okazuje się wyborową jaczejką komunistyczną, która promieniuje na całą wieś. Tam urabiają sobie ludzie pojęcia: o własności, o etyce, o „księdzu" i z bolszewickich pism tam przemycanych czerpią wiadomości. W skutku tego wyrostki 14-o - 15-o letnie zasadzają się wieczorem za węgłami domów niby straszyć zakonnicę, która idzie do chorego, a w rzeczy samej tak dalece się posuwają, że gdyby

nie doraźna pomoc, napadliby na nią i conajmniej zbili. W ostatnich dniach września, gdy szale wojny i pokoju tak nierówno stały i nerwowo się podnosiły lub opadały, w pogranicznych miastach i miasteczkach byli już naznaczeni komisarze bolszewiccy.

Co jest przyczyną złego usposobienia ludności i szybkiego przyjmowania się wpływu komunistycznego na naszych kresach? — Co przyczyną trwania w prawosławiu, mimo jego niedostateczności? — W wielkiej mierze ciemnota i nędza ogólnie tam panujące.

Wkrótkim artykule niepodobna jest dać całkowity obraz panujących tam stosunków; pod tym względem można go jedynie kilku rysami naszkicować i dać najwyżej pewne o nich wyobrażenie.

Mała Martusia donosi, że jedna dziewczynka i chłopczyk są niechrzczeni. Z pomocą tej małej apostołki odnajduje się ich rodzinę. Ale wykazuje się, że jest takich więcej w tej wsi, — 7-ro dzieci jest niechrzczonych; w jednej rodzinie aż troje. Dlaczego? — „bo czekało się zawsze lepszej chwili"; rodzice z biedy tego obowiązku nie dopełniali; trzeba coś w kościele zapłacić, dzieciom porządne ubranie sprawić, a na to nie mają! — Toteż bywają wypadki, że jak „ksiądz nic nie bierze", to i kilka par narzeczonych przed ślubem na katolicyzm przechodzi. Oni świadomie czy nieświadomie szukają prawdy. Czują, bo często rozumowo się nad tym nie zastanawiają, że ona jest w katolicyzmie. Starszy człowiek, diak cerkiewny, stale do kościoła przychodzi, i opowiada że urodził się w prawdziwej wierze, ale gdy był dzieckiem, wieś całą „ukazem przepisali na schyzmę". W niej się wychował; służąc w wojsku, gdy pragnął już bardzo do

swoich wrócić, poszedł w Wilnie do Ostrej Bramy; tam Matka Boska na niego spojrzała i mówi: „Módl się ty do mnie, a wrócisz". — Idzie za tą radą i w parę dni potem wyciągnąwszy dobry los, puszczony został do domu. Odtąd chodzi się modlić gdzie w ołtarzu jest Najśw. Panna: „Co ja mam w domu siedzieć, czy nie lepiej że się Panu Bogu pomodlę?" — Czy przejdzie na katolicyzm? — pewnie nie, bo nie było „ukazu", a bez tego trudno! Względnie — „pójdzie się popa poradzić", jak to czasem inni robią!

To straszne nieuświadomienie w rzeczach wiary, wspólne niestety i katolikom i prawosławnym, przejawia się nieraz uporem nie do przełamania, trzymaniem się błędnej zasady z całą siłą głębokiego przekonania. Np. kto nauczy starszego już człowieka, że spowiedź nie jest zapowiedzią śmierci? Latami nie chodzi do świętych Sakramentów, choć uczęszcza do kościoła, „bo jak się wyspowiadam, zobaczysz, że umrę"!!

Typy bardziej rozumowe szukają, badają, chcą się przekonać; kryterium, wedle którego sądzą religię jest czyn jej wyznawców. Młoda dziewczyna chce przejść na katolicyzm, „bo popi mówią o Panu Jezusie, ale nie żyją jak Pan Jezus kazał". Przystała więc do baptystów, ale tam było to samo. Idzie więc do księdza katolickiego i trafia na chwilę, gdy ten sypał biednemu do woreczka kaszę. „Znalazłam czego szukałam" — orzekła i zamieniła wiarę, bo miłosierdzie do niej przemówiło. Kobieta, której rodzina nie pozwoliła przejść na katolicyzm i przemocą wydała za prawosławnego, męczy się, nie znajdując pomocy w swoich wątpliwościach u popów. Przychodzą jej w

końcu rozpaczliwe myśli, że „jeżeli Boga niema, to po co żyć?" — na zapytanie, czyby została katoliczką?... odpowiada: „tylko mi czynem okażcie, że w co wierzycie jest prawdą!"

Ile męki bywa w tych duszach dobrej woli, a nieoświeconych. Dosłownie można o nich powiedzieć, że siedzą w „ciemnościach śmierci", a niemasz ktoby ich wybawił! Apostołów jest za mało! Proboszcz rozległej parafii, ciągnącej się dziesiątkami kilometrów, jest równocześnie prefektem i spędza przeszło pół dnia w szkołach i na wózku, jedna od drugiej bowiem dość jest zwykle oddalona. Gdy wróci, czekają na niego liczne parafialne i duszpasterskie obowiązki, spełnić je musi, — gdzie więc zostanie mu czas na indywidualnie prowadzone apostolstwo? A ono tak jest potrzebne! Zakonnice na placówkach misyj wewnętrznych są konieczne i oby ich jak najwięcej było, ale one nie wystarczają. Potrzeba księży.

Więcej księży!

Ci, którzy są gorliwi i pełni ducha Chrystusowego nie wystarczają na te ogromne, a tak konieczne, nie cierpiące zwłoki duchowe potrzeby. A któż je zaspokoi?

Dusze mimowiednie rwą się do Chrystusa, a nie ma komu ich prowadzić, drogę dobrą wskazywać!

Prosi młoda kobieta: „Pani Siostro, daj mi kniżku, bo ja tak żaleju nad Chrystusem, więc żeby jeszcze więcej!" — W jednej wsi, której mieszkańcy nie chodzili ni do kościoła ni do cerkwi, zbliża się stara kobieta po skończonej lekcji w szkole, do uczącej tam zakonnicy i mówi nieśmiało: „Czy nie byłoby Siostrze za trudno przy dzieciach i nas starych pou-

czyć, bo słuchałam pod oknem co Siostra dzieciom mówiła i jakoś widzę, że my starzy nic z tego nie wiemy, tośmy się zgadali, że poprosimy Siostrę, by jak tu przyjdzie to i nas brała".

„Nie proście dla mnie o wyzdrowienie — mówi przed śmiercią młoda dziewczyna — dla mnie dosyć szczęścia, że umieram szczęśliwie!"

Co za działanie Boże w duszach nieświadomych siebie i co z nich i z nimi można by zrobić, gdyby więcej pracowników się znalazło!

Do starej piosenki, dobrze wszystkim znanej, że Polakom brak wytrwałości, można dodać jeszcze refren: brak im konsekwencji i długowzroczności. Od ilu lat mamy wolność działania we własnym kraju, a wiele zrobiliśmy dla kresów wschodnich?... Nie trzeba się łudzić. Bilans wypadłby smutno, na naszą niekorzyść. Wśród ludzi są tam jak powiedzieliśmy na początku wszelkie i wielkie możliwości dobra i zła. Nie wykorzystywujemy, nie podsycamy pierwszych, nie paraliżujemy drugich, — stąd wynik niesłychanie smutny tak dla Religii jak i dla Państwa, a skutki mogą być nieobliczalne, szczególnie w chwilach ważnych jak obecne czasy, gdy wobec zaborczości sąsiadów trzeba sobie jasno powiedzieć że jest jeden sposób działania: misyjny.

Nie pomoże „uświadamianie" za pomocą oświatowych zebrań, katolickich religijnych odczytów etc. Słowa przebrzmią, a chłop wróci do swej codziennej biedy i nędzy, którą umiejętnie wykorzysta dla swych celów agitator komunistyczny.

Księża tam pracujący wiedzą dobrze, czego ten stan ludności wymaga. Ile pracy, trudu weń wkładają,

ile ponoszą niewygód, cierpień, nieraz jaką sami biedę znoszą, to wiedzą tylko oni i Bóg, który to wszystko policzy. Ale nie poradzą — jest ich stanowczo na te wielkie połacie kraju za mało.

Trzeba nam więcej powołań — trzeba kapłanów-misjonarzy, którzyby z takim samym poświęceniem jakie konieczne jest dla prowadzenia misyj zagranicznych poszli apostołować tych, co tygodniami, a czasem miesiącami nie chodzą do kościoła, bo im za daleko, bo nie mają się w co ubrać.

Mamy misjonarzy w Japonii, na Kamczatce, w Tybecie, w Ameryce połudn., w Afryce, a we własnym kraju, dla dusz równie ich potrzebujących czy nam ludzi, zapału, ducha apostolskiego zabraknie...? — Nie daj tego Bóg!

Prośmy tedy Pana żniwa, aby posłał pracowników swoich, „żniwo bowiem jest obfite, ale robotników mało". (Łuk. X 2.

S. M. Benwenuta

Myśl liturgiczna

ŚWIĘTOŚĆ KAPŁANÓW A MSZA ŚW.

Kapłani Pańscy chleb i kadzidło ofiarują Bogu; a przeto świętymi będą Bogu swemu, a nie splugawią Imienia Jego[1]).

Tak śpiewa Kościół w czasie ofertorium Mszy św. kiedy obchodzi piękną i tak drogą nam wszystkim oktawę Bożego Ciała.

Bez względu na to, kim jesteś, *człowiecze Boży*[2]), pamiętaj, że Pan cię wybrał zupełnie darmo i przeznaczył w swojej miłości do uczestnictwa w kapłaństwie Jezusa Chrystusa; ktokolwiek jesteś, jeśli pragniesz czerpać z tego uczestnictwa siły uświęcające twój stan, rozważaj często to ofertorium, tak w treść bogate.

Kapłani Pańscy... Tak, my kapłani winniśmy powtarzać to codziennie; o każdej porze dnia, gdziekolwiek jesteśmy, dokądkolwiek idziemy, wśród cierpień i pracy, winniśmy powtarzać; jesteśmy kapłanami Pana.

---

1) Lew. XXI, 6.
2) I Tym. VI, 11.

Do Niego z każdego tytułu należymy, więcej niż każdy inny człowiek ciała Chrystusa, to jest Kościoła. Należymy do Niego, do Niego jedynie, do Niego zawsze, do Niego przede wszystkim, do Niego w czasie, oczekując współżycia z Nim w wieczności.

Żyjemy dla Niego: On od wieków skierował na nas to do głębi przenikające spojrzenie, którym nas wyróżnił w swoim umyśle, i w swojej woli.

Okrył nas w nim swą miłością, a i niemniej otoczy nas nią w chwili wezwania. I ustawicznie spojrzenie to osłaniać nas będzie w chwilach naszego kapłańskiego życia, aż do ostatniej chwili, po rajski próg.

Istniejemy dla Niego: nikt niezdołałby nas wyrwać z Jego uścisku. Jest to święte Jego prawo. Charakter sakramentalny tego prawa wycisnął niezatarte znamię w najgłębszej części naszego jestestwa, kiedy Bóg upodobnił nas do Jezusa Chrystusa, Kapłana na wieki.

Już nie możemy tego sobie chcieć lub nie chcieć: bez względu na to pozostaniemy na zawsze kapłanami Pana. A żywa świadomość tego, czyż nie może sprawić w piekle kapłanowi-apostacie najdotkliwszego bólu?

Jesteśmy Jego, a On jest nasz: ponieważ stał się *cząstką dziedzictwa naszego, Ten, który dzierży w swych rękach nasze przeznaczenie*... Ach! toż i *dział mój przepiękny jest dla mnie*[3]).

Kapłani Pańscy będą należeć do Niego, a On do nich, zależnie od tego, jak o Nim będą pamię-

---

3) Ps. XV, 6.

tać. Są poważne chwile w naszym życiu, kiedy ta pamięć staje się koniecznością, siłą, chwałą, zwycięstwem.

* * *

Kapłani Pańscy ofiarują Bogu.

Składać ofiarę, ofiarować, zachowywać postawę, która przystoi, w całym słowa tego znaczeniu, Jezusowi Chrystusowi, jako Liturgowi i *Kapłanowi przybytku*[4]), postawę *pośrednika między Bogiem a ludźmi*[5]) — oto jaka wielkość powołania kapłańskiego, wzniosłe zadanie ich urzędu, najwyższa godność ich stanu.

Bóg od początku wieków przeznaczył ich do tego, na to się urodzili, do tego też powołani zostali; walczą i potykają się, pracują i żyją przede wszystkim i ponad wszystko jedynie dla tego celu.

Jezus Chrystus uczynił z nich swoje wybrane pokolenie, naród swego okupu, plemię kapłańskie, na to, by ich ustanowić nie tylko zastępcami, lecz także pośrednikami swego kapłaństwa; by sprawowali jedyną ofiarę krzyżową, którą swoją mocą sprowadzają na ołtarz ofiarny, by ją znów wziąć w swe poświęcone ręce i przedstawić przed Obliczem boskiego Majestatu.

Kapłan, świadomy swego powołania, skupia codziennie wszystkie swoje myśli, swoje siły i czyny około tej ofiary, na *Górze świętej, gdzie przebywają święci w swoich przybytkach*[6]).

---

4) Żyd. VIII, 2.
5) I Tym. II, 5.
6) Ps. XLII, Judica me.

Kapłan, mający ducha kapłańskiego, gdziekolwiek się znajdzie, cokolwiek czynić będzie, czy będzie cierpiał, pracował, czy modlił się, zawsze w głębi swej duszy zachowa postawę ofiarnika; *nie wyjdzie on z przybytku Boga swojego, pamiętając o tym, że oliwa namaszczenia przez Boga swojego jest jego koroną*[7]).

Kapłani Pańscy ofiarują Bogu. Słudzy kapłaństwa Jezusa Chrystusa składają ofiarę Przenajświętszej Trójcy, Ojcu, Synowi, Duchowi św., „wyznając nieustannie prawdziwego i wiecznego Boga, wielbiąc:

w Osobach właściwość, w Istocie jedność, w Majestacie równość"[8]).

Składają ofiarę tej Trójcy Jednej i tej Jedności Troistej, by samych siebie zwrócić ku Niej, i by zaprowadzić tam tych, w których imieniu, jako poświęceni pośrednicy, składają ofiarę.

Składają oni ofiarę Najczcigodniejszej Trójcy przez Jezusa Chrystusa, „przez Którego, z Którym, i w Którym jest wielka chwała i cześć Bogu Ojcu Wszechmogącemu w jedności z Duchem św. na wieki wieków"[9]).

A im częściej przebywają z Jezusem Chrystusem, tym więcej żyją dla Niego, tym więcej kroczą z Nim, tym lepiej także składają ofiarę swojemu Bogu, Jednemu w Troistości.

***

---

7) Lew. XXI, 12.
8) Prefacja do Trójcy Przenajśw.
9) Kanon Mszy św.

Ofiarują Bogu kadzidło i chleb. Kadzidło, — to modlitwa, chleb — to Jezus Chrystus ze swoimi członkami, z Kościołem.

Kadzidło — to modlitwa Mszy św., wznosząca się do Boga, by uznać Jego suwerenne prawa nad wszelkim stworzeniem. Jest to modlitwa chwalebna, dziękczynna, błagalna, przebłagalna; nie jest-że to cała religia?

Kadzidło, — to nędzny byt człowieka, nieczysta żywica ulatniająca się z drewien zagłady, a którą kapłani rzucają w imię Chrystusa, w objęcia miłości, którą jest Duch św., zamieniając tę żywicę na jedno wyznanie Wszechmocy Boga i nicości stworzenia, w chwili, kiedy ich „święte i czcigodne" ręce składają ofiarę Przenajświętszej Trójcy.

Chleby — to Jezus Chrystus, to Kościół i jego dzieci; to Chleb życia wiecznego, a z Nim *naród święty, lud nabycia: abyście opowiadali doskonałości Tego, który was wezwał z ciemności ku swojej przedziwnej światłości*[10]).

Ten chleb życia, Chleb żyjący, ten lud święty, wszystko to — to ciało Chrystusa. Chrześcijanie — to rozmielone ziarnka pszeniczne, by z nich przez wodę Chrztu świętego, powstało nowe ciasto, które, pod działaniem żaru Ducha św., czyni z wielkiej ich liczby jeden Chleb, jedną hostię ofiarną, ofiarę czystą, którą ręce kapłańskie będą podnosiły ku Bogu.

---

10) I Piotra II, 9.

Ten jedyny Chleb Boży, Chrystus i Jego członki, Jezus i Kościół, to my kapłani, osłaniający ofiarę Mszy św. dymem kadzidła, otulający ją modlitwą, która wielbi, która dzięki składa, która prosi, która zmazuje winy, aby całe życie chrześcijanina było uświęcone ,by kierowało się ku niebu, by oddawało Przenajświętszej Trójcy najwyższą chwałę i cześć. Oto, jeszcze raz powtarzamy, dlaczego jesteśmy kapłanami Pana przede wszystkim i ponad wszystko; by Bogu ofiarować kadzidło i chleb.

***

A przeto świętymi będą Bogu swemu, a nie splugawią Imienia Jego. Konkluzja słów poprzednich : ponieważ składają ofiarę, ofiarę Bogu, ofiarują kadzidło i chleb, dlatego będą świętymi temu samemu Bogu i jaśnieć będą blaskiem Jego Imienia.

Nikt tak nie powinien troszczyć się, by zostać świętym, jak my kapłani. Święty, *uświęcony w prawdzie*[11]), to dusza poświęcona, przeznaczona na ofiarę całopalną[12]), urzeczywistniająca możliwie najdoskonalej Chrystusa, ofiarowanego na ołtarzu.

Ten jest świętym kapłanem, „który wie, co sprawuje na ołtarzu, który naśladuje, w swoich rękach piastowanego Boga, *agnoscite quod agitis, imitamini quod tractatis,* i to do tego stopnia, iż czcząc tajemnicę śmierci Pańskiej, gotów byłby wydać swe członki na śmierć za wszystkie ich występki, za wszystkie nieumiarkowane ich żądze"[13]).

---

11) Jan XVII, 17.
12) Takie jest znaczenie słów św. Jana XVII, 17.
13) Rit. ordin. sacerd. Pont. Rom.

Dla zwykłego wiernego, obecnego na Mszy św. i biorącego w niej udział, jest już ta ofiara wymownym ideałem świętości. O ileż więcej kapłan powinien widzieć w niej cały swój pierwowzór!

Kapłan ten jako ofiara uwielbienia Ojca niebieskiego przez Jezusa Chrystusa w jednoczącej miłości Ducha Świętego, nawet z tytułu swej roli ofiarnika i ofiary, jest „kadzidłem, którego woń życia wnosi radość do Kościoła Chrystusowego"; jest także tym chlebem życia „czystego i nie splamionego, którego przykład i słowo budują ten dom, jaką jest rodzina Boża"[14]).

Ten kapłan jest świętym dla Kościoła; jest on zwłaszcza świętym *Bogu swojemu, Deo suo,* gdyż życie jego wypływające i tkwiące w świętości kapłańskiej Jezusa Chrystusa, jest w każdym jego czynie hymnem chwały, wypowiadającym wraz z hierarchiami niebieskimi *Święty* — *Sanctus* — Panu po trzykroć świętemu.

Ponad wszystko ma jedną tylko troskę: nigdy nie splamić Imienia Pańskiego; taką ma wartość wypowiedzenie Imienia Ojca niebieskiego, jaką ma wypowiedzenie Imienia Słowa Wcielonego, Jezusa Chrystusa, Kapłana wiecznego, według obrządku Melchizedecha, będącego bożym i czcigodnym ujawnieniem Jego chwały.

Splamiłby to Imię, wywyższone ponad wszystkie imiona, kapłan niewierny swemu wzniosłemu powołaniu, jakim jest składanie w ofierze Bogu kadzidła

---

14) Tamże.

i chleba, w taki sposób, jak to powinni czynić święci — w Jezusie Chrystusie.

Splamiłby to Imię kapłan, któryby bez zrozumienia tajemnicy paschalnej, odnawiającej się każdego poranku na świętym ołtarzu, nie zgadzał się i nie jednoczył się z Jezusem Chrystusem w tej tajemnicy *Przejścia* — (Phase), która wyprowadziła Syna Bożego z upokarzającego poniżenia do wywyższenia w Jego chwale[15]. Splamiłby to Imię kapłan, gdyby całe jego życie nie odbijało i nie odzwieciedlało przez Jezusa Chrystusa, z Jezusem Chrystusem i w Jezusie Chrystusie, stanu duszy, oddającej „wszelką cześć i chwałę" Przenajświętszej Trójcy.

Przeciwnie, niech czci to Imię Ojca i niech Je wielbi, niech daje Mu świadectwo i nosi *Je przed wszystkimi ludźmi, ażeby przeszli z ciemności do światła, i z pod władzy szatańskiej do Boga, i by w ten sposób przez wiarę w Nie otrzymali odpuszczenie grzechów i dziedzictwo ze świętymi*[16].

Kapłani Pańscy ofiarują Bogu kadzidło i chleb; a przeto świętymi będą Bogu swemu, a nie splugawią Imienia Jego.

Jaki program, jakie powołanie, co za ideał życia kapłańskiego!

Dom E. Vandeur O. S. B.

(Przełożył o. *Zdzisław Stachura O. P.*)

---

15) Filip. II, 8-9.
16) Dzieje Ap. XXII, 15; XXVI, 18.

Wzory do naśladowania

KRZYŻ JEZUSOWY

„Droga życia, jeżeli ma zaprowadzić do nieba, musi być naznaczona krwią miłości i cichymi cierpieniami"
(słowa Pana Jezusa wyrzeczone w dzień Nowego Roku 1873).

Czasem fragment daje jaśniejszy wgląd w życie człowieka, aniżeli długi szereg faktów. Dotyczy to tych ludzi przede wszystkim, którzy się w każdej chwili dawali cali, bez reszty: ludzi, jakby ich określić — totalnych, nieznających kompromisów i koncesji.

Takim człowiekiem była Wanda Malczewska.

Wybrany fragment tym głębszy daje nam wgląd w jej życie wewnętrzne, że dotyczy jej stosunku do krzyża, który obok czci Najśw. Sakramentu stanowił najbardziej charakterystyczny element jej kontaktu z Bogiem.

***

Nie możemy sobie niestety odtworzyć całości owej cudownej drogi zdobywania królestwa niebieskiego, które się Wandzie otwarło łaskawie z chwilą chrztu

św. Zaledwie początkowe etapy tego procesu możemy podpatrzyć. Stwierdzamy potężne działanie nadprzyrodzonych instynktów wiary i miłości, które dziecinie wszędzie pozwalały odnajdywać Boga i doszukiwać się praw Jego. W naukach matczynych i rozmowach starszych, w obrazkach i lekturze, w otaczającym ją świecie ; ale nade wszystko tam, gdzie On jest obecny pod postacią chleba — w kościele i liturgii.

Widzimy, jak się między dzieciną a jej Bogiem zacieśniała coraz bogatsza więź uczuć, jak wola wrastała w świat nadprzyrodzony, zapuszczając weń coraz liczniejsze, mocne korzenie, drobnego wprawdzie, ale wytrwałego, codziennego czynu.

Będziemy mogli na podstawie autentycznych zapisków Wandy, oraz jej spowiednika, ks. Olkowicza, analizować jej życie wewnętrzne w okresie najbogatszego jego rozkwitu.

Cały długi, bo czterdziestoletni etap środkowy od owego najwcześniejszego dzieciństwa, aż po lata bardzo dojrzałe, jest zakryty przed nami. Znajdujemy uderzającą analogię z życiem niebieskiego jej Oblubieńca i w tym także, że jakkolwiek ukryte w szczegółach, zachowało się nam w pewnych, charakterystycznych, a dla nas najbardziej instruktywnych fragmentach. Wiemy przede wszystkim z jej własnych powiedzeń, co było kluczem otwierającym jej niebieskie królestwo.

Nie jest to jakaś uprzywilejowana, świętym tylko dostępna droga.

To pospolity los szarego tłumu kobiet.

Sieroctwo ? — Małoż to sierot po świecie szerokim w tej czy innej formie, cierpi to, co Wanda cierpiała !

Przekreślenie projektów, marzeń młodości? — Ileżto takich zawodów kryje się w sercach dziewczęcych!

Rezygnowanie z własnych praw do życia, by pielęgnować złamaną nieszczęściem i chorobą niedołężniejącą staruszkę... utrata najbliższych sercu... bezdomność... tułaczka... chłód opuszczenia nawet przez najbardziej ukochanych. — Cóż pospolitszego nad to w życiu kobiecym? W życiu kobiecym — dodajmy — ówczesnych czasów.

Pospolitość, przeciętność, chciałoby się rzec aheroiczność, jest cechą charakterystyczną drogi, którą Wanda idzie ku Bogu.

Może nigdzie nie występuje to tak wyraźnie, jak w pierwszym życiorysie Wandy, właśnie dlatego, że autor wyczuwając niejako to jej niedociągnięcie do ogólnie uznawanego schematu świętości, próbował wypełnić lukę.

Zdarzenia opisane w takim na przykład ustępie: „Dowód wielkiej cierpliwości i poświęcenia p. Wandy" są tak błahe i małoznaczne; tłumaczenia dlaczego Wanda nie założyła zgromadzenia zakonnego, albo przynajmniej nie wstąpiła do zakonu itd. uwypuklają raczej nagi fakt, że Wanda naprawdę żadnego heroicznego czynu nie dokonała. Bo i w pracy charytatywnej, samarytańskiej, oświatowej, patriotycznej prześcignęło ją wiele kobiet współczesnych.

I pod tym względem życie Wandy tak dziwnie przypomina swą prostotą życie Boskiego jej Oblubieńca, Którego porównując ze św. Janem, surowym ascetą-pustelnikiem, mówili żydzi: „Oto obżerca i winopilca".

Wyczuwa się niemal w tym wyjałowieniu życia Wandy z wszelkiej sposobności do heroizmu, w tym zrównaniu jej z szarym, nieprzeliczonym tłumem, w tym jej spospolitowaniu, potężną myśl Bożą, ogromnie głęboki plan Bożej względem niej Opatrzności.

Zdaje się, jakoby stać się ona miała dla rzeszy świeckich kobiet tym, czym św. Teresa od Dzieciątka Jezus stała się dla zakonnic. — Odkrywcą nowych dróg i nowych, a raczej zapomnianych wartości.

Jakież bo ogromne bogactwa na żywot wieczny marnują się i giną bezpowrotnie w niewyzyskanej fali cierpień, które dziś potężniej niż kiedykolwiek przepływają całą ludzkość i każdą poszczególną duszę bez wyjątku. Któż je próbował kiedy zsumować i badać miaższość narastających z dnia na dzień pokładów, któż się zastanawia, jak je wyzyskać dla pożytku dusz ludzkich?

Cóż mówić o innych, kiedy nawet my, katolicy wierzący jakże często w naszym życiu wewnętrznym przypominamy owych dzikusów, chwytających za błyskotki bezwartościowe dorywczych umartwień, ofiarek, a dających sobie wydzierać szlachetny, bezcenny kruszec codziennego krzyża.

A kruszec ten to nie martwe złoża, gdzieś głęboko spoczywające pod ziemią. To żywa siła, która porywa, podmywa i żłobi dusze nasze bez względu na to, jak się do niej ustosunkujemy. Tylko że nie ujęta w karby woli, nie wykorzystana celowo, staje się jak każda siła żywiołowa elementem niszczącym już nie pracę rąk naszych, ale wprost nas samych. — Policzmy tylko istnienia ludzkie zgorzkniałe, złamane, zniechęcone, zrozpaczone, te niezliczone w swej formie i treści

urazy psychiczne niby głęboko w dnie duszy skryte, a podcinające jej żywotną siłę, jej rozmach, zapał życiowy, energię twórczą, produktywność jej pracy.

Rozważmy rozkładowe działanie w społeczeństwie i państwie jadu sączącego się z mas niezadowolonych, zawiedzionych, zrozpaczonych.

I znów zróbmy bilans wysiłków, by usunąć cierpienie z życia ludzkiego i ich realny wynik...

Czyż wszystkie dotychczasowe usiłowania nie wydają się naiwną próbą wyczerpania dziecinnymi piąstkami morza? Wody te zapewne mogą zalewać nam pola, burzyć domy, niszczyć pracę rąk naszych, ale mogą też uszlachetniać i wzbogacać dusze nasze skarbami hartu, zaparcia się siebie, ofiarności i iluż jeszcze innych bogactw trwałych, duchowych, które przydane nam będą, o ile szukać będziemy poprzez cierpienie najprzód królestwa Bożego i jego sprawiedliwości.

***

W okresie przedziwnej poufałości — kiedy Bóg-Zbawca raczy z służebnicą swą rozmawiać łaskawie i tłumaczyć jej wielkie swe sprawy prostym, tak jej zrozumiałym językiem symbolu, krzyż jest elementem widzeń Wandy najbardziej charakterystycznym, najczęściej występującym.

Symbolika jego jest przebogata.

Na pierwszym planie — krzyż Jezusowy. — Ciężki, żelazny.

Pochylony dźwiga go Zbawca, zalewając się łzami: „I cóż — sług mojego ołtarza nie mogę nawrócić, gdyż dałem im wolną wolę, a tej nie chcą pod wolę moją poddać“.

Dwa razy zjawia się krzyż drewniany „na jakim był ukrzyżowany".

Po raz pierwszy w cudownym widzeniu naszych świętych narodowych jak wraz z Królową Korony Polskiej modlą się za kraj nasz. Wskazuje nań Jezus, mówiąc: „Krew za nich przelałem na tym krzyżu, więc nie chcę ich zguby, ale niech się nawrócą przez szczerą pokutę i więcej nie grzeszą, niech nie zdradzają Kościoła i wiary, niech będą obrońcami ewangelii".

Widzi go Wanda po raz drugi w Dzień Zaduszny 1877 r. — więc to krzyż ufności i otuchy, krzyż zmiłowania.

Taki nam bliski z wieńcem cierniowej korony, tak zrośnięty z naszym polskim krajobrazem: „Ukochajcie krzyże — mówi dalej Pan Jezus — jakie na was spadną za grzechy przeciwko wierze i Ojczyźnie i szanujcie te, co stoją przy drogach i przypominają wam mękę moją za was poniesioną... zniszczone poprawiajcie, bo one was i wasze pola ochraniają od nieszczęść".

Najczęściej trzyma Jezus krzyż w ręce wsparty na ramieniu. Jest w takim właśnie jego ujęciu ochotna gotowość przyjęcia go i spokojna pewność wytrwania. Czasem ukazuje się wówczas Chrystus w dużej postaci, jakby dla zaznaczenia swej mocy, w ciemnej szacie, ale bywa i w białej, a nawet z narzuconym płaszczem ponsowym, bardzo błyszczącym, wyraźnie królewskim.

Stoi — lub siedzi w obłokach jako Pan nieba i ziemi.

Nie zawsze jest to tylko czarny krzyż cierpienia. Bywa błyszczący krzyż triumfu i chwały.

Wszak zjawia się w dzień Zmartwychwstania 1877 roku z białą chorągwią o radosnym napisie: „W krzyżu zwycięstwo, pokój i klucz do nieba“. Albo w Wniebowstąpienie 1872 r. w rękach Jezusa w białej sukni, bez przepasania, o szerokich rękawach unoszonego na jasnych obłokach, w blasku wielkiego światła.

Raz określa Go Wanda wprost jako złoty, to znów ognisty, z napisem jakby wysadzanym wielkimi kamieniami tęczowymi „godło zwycięstwa“.

A nawet i ten czarny krzyż cierpienia podnosi Zbawca ku górze ujęty obu rękoma. I choć postać Jezusa wypływa wówczas z światłości w ciemnej sukni, białym rzemiennym paskiem przepasanej, w naturalnej wielkości, bije odeń spokojna powaga, ale nie smutek ani przygnębienie.

Dzierży go również Najśw. Panienka: „Ukazała mi się w naturalnej postaci młodziutkiej, najdorodniejszej dziewicy“ — zapisuje Wanda dnia 31 maja 1872 r. — odziana białą suknią, z różami białymi na głowie, togą niebieską pokryta; wraz z końcem modlitwy ręką wyjęła krzyż spod poły togi, podniosła go w górę, pobłogosławiła nim i wyrzekła słowa stosowane do swego serca, które umieszczone było wprost naprzeciw środka krzyża: „Patrz, jak lekki, bo przy nim jest moje serce“.

Albo dnia 16 i 21 lipca 1872 r., w dzień Matki Boskiej Szkaplerznej, w błękitnym płaszczu, z włosami gładko uczesanymi, z bukietem róż ponsowych, symbolizujących miłość — za błękitnym pasem, z rękoma rozłożonymi, jakby chciała wszystkich do siebie przygarnąć, trzyma koronkę z krzyżykiem błyszczącym,

jakby mówiła: krzyż złączony z modlitwą prowadzi do nieba.

I tak krzyż w rękach Jezusa i Maryi jest nie tylko wyrazem Ich cierpień — jest przede wszystkim dla nas szkołą cierpienia.

Poprzez bogactwo różnorodnych symbolów powraca wciąż parę zasadniczych wskazówek: krzyż lekkim czyni miłość ofiarna i współczująca cierpieniom Jezusa, a świadomość doniosłej jego roli wzmaga siły człowieka, który go dźwiga.

Na tle niebieskiej perspektywy zbawienia zatraca krzyż żałobną swą barwę — staje się błyszczący, złoty, ognisty, jak pochodnia, co oświeca i zapala ludzkie serca do wysiłku.

Wreszcie ten nasz krzyż.

W dwu kształtach zjawia się on w widzeniach Wandy.

Od benedykcji Jezusowej przesuwa się nad głowami tłumów jako połysk błyskawiczny, migotliwe błyśnięcie, a nawet jako promienie światła.

Czasem jednak rozjaśnia świątynię niby najświetniejsza błyskawica.

Krzyż naszego doczesnego życia — dziś jest, a jutro go nie ma. — Oślepia nas, odrętwia, paraliżuje, przeraża, a może właśnie wstrząsa, budzi duchowo, hartuje, zawsze jednak przehuczy nad naszymi głowami jak burza i mija.

Albo w innej swej formie.

Mały, czarny krzyżyk odłącza się czasem od tego błyskawicznego krzyża, który niby nagły kataklizm dziejowy przelatuje oślepiający ponad ludem zebranym w kościele, to znów od wielkiego, błyszczącego Jezu-

sowego krzyża. „Mały krzyż wam daję, bo obecnie cięższego nie zniesiecie“ — mówi Pan Jezus dnia 15 października 1874 r.

Gdy spada jako połowa drewnianego krzyża Chrystusowego, słyszy Wanda głos: „Patrz, że daję wam krzyż zastosowany do sił waszych“.

Albo, gdy wprost krzyż trzymany w ręku spuszcza Jezus na ziemię, pociesza zaraz łaskawie: „Pamiętajcie, że cięższy nosiłem“.

„Nawet wówczas, gdy Jezus złożył na ręce kapłana krzyż czarny, jakby żelazny, mający, jak mi się zdawało, blisko pół łokcia, w tej chwili pomyślałam — notuje ekstatyczka — że może nie będzie bardzo ciężki, kiedy go Sam Pan Jezus wkłada“. I dodaje: „Krzyża tego pierwiej w ręku Jezusa nie widziałam“. Jakby ten właśnie, najcięższy krzyż nie od Boga pochodził, tylko go Jezus łaskawie raczył brać w swe ręce, by go lżejszym uczynić. Zdaje się, że to krzyż określony przez poetę dwuwierszem:

„Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata
Sam sobie robi koło, i sam się w nie wplata“.

W sercu ogniem płonącym widzi go Wanda. Wskazuje nań Jezus, mówiąc: „Patrz, jak płonie ogień miłości z tego serca, a ja niczego tak nie pragnę, jak ufności“*).

Ale bez względu na to, czy z Bożej woli, czy tylko z Bożego dopuszczenia pochodzi, każdy ten krzyż jest przeowocny.

---

*) Widzenie owego krzyża żelaznego, złożonego na ręce kapłana, oraz serca gorejącego miłością, któremu brak było jednak ufności, tłumaczy się jaśniej w związku z życiem wewnętrznym ks. Olkowicza, spowiednika Wandy.

Z niego to uformowane światło spływa w drugi dzień Zielonych Świątek 1874 r. w trzech promieniach na ziemię. Albo w to samo święto 1877 r. sypią się z błyskawicznego krzyża ogniste języki darów Ducha świętego.

Wszystkie te bowiem cierpienia, nieszczęścia, a nawet dziejowe kataklizmy są uświęcone przez łączność z Jezusowym krzyżem i z niego czerpią swą nadprzyrodzoną produktywność.

W niedzielę Starozapustną 1875 r. rzekł Jezus: „Weźcie ten krzyż z rąk Moich i módlcie się za tych, co niosą krzyż cięższy, ale nie Mój, bo bez zasługi, bo na modlitwę czasu nie mają“.

„Te słowa na sumie przez Pana Jezusa wypowiedziane różnie rozumieliśmy (pisze spowiednik p. Wandy) a ja nawet do siebie je brałem, sądząc, że może moje utrapienia są poprostu światowe, że zatem nie mam spodziewać się stąd żadnej zasługi, że mój krzyż od świata, a więc raczej otwiera mi piekło, tak doczesne, jako też i wieczne. — A p. Wanda stosowała te słowa do ludzi przepędzających hucznie karnawał na zabawach, tańcach, grach i pijatykach... i dlatego też każdy z nas modlitwy skierował po swojemu. Pan Jezus na drugi dzień na Mszy św. w poniedziałek, 23 stycznia, objaśniając rzeczywistą myśl swoją, tak powiedział: „Dlaczego w intencji modlenia się nie widzicie prześladowców Kościoła? Wszak zostawiłem wam przykład modlenia się za nieprzyjaciół, bo oni nie umieją“.

— — — — — — — — — —

I to jest właśnie jedyny, naprawdę tragiczny, beznadziejnie smutny, rozpaczliwie jałowy, piekielnie destrukcyjny... krzyż nie Jezusowy.

— — — — — — — — — —

Oto jak głęboką szkołą stał się dla Wandy krzyż, w który wpatrywała się całe życie. Jako dziecina maleńka — dziewięciu lat jeszcze nie miała — do stóp krzyża się garnie z naręczem zebranych w ogrodzie kwiatów i już wówczas za pośrednictwem kwietnych symbolów modli się do Ukrzyżowanego.

A musiał być to język wielkiej mocy nad Bożym Sercem, kiedy zasłużył na bezpośrednią z krzyża odpowiedź Zbawcy.

Jako ośmioletnia dziewczynka, w dniu swej pierwszej Komunii św. przyjmuje ochotnie zapowiedziane jej długie, bezdomne życie.

Nie cofa się przed ofiarą i wówczas także, gdy grom z Bożej ręki najcięższy w jej matkę uderza, skazując ją samą na sieroctwo i opuszczenie. Przez długich lat czternaście żyje wśród prześladowań macochy, traktowana jak służąca, choć niedaleko ma ciotkę, gdzieby schronić się mogła, bo tam jej gościnę i opiekę ofiarują z macierzyńską serdecznością.

Z równym spokojem przyjmuje dalsze ciosy: śmierć ciotki i ukochanego brata ciotecznego, wyjazd z domu braterstwa do klasztoru jako rezydentka w podeszłym już wieku, a potem znów utratę tego punktu oparcia przez śmierć przyjaźnią z nią związanej opiekunki-przełożonej.

Wreszcie wieczny tułacz — przez długich lat 70 życia — umiera na plebanii jako rezydentka probosz-

cza, z krzyżem w ręku oraz słowami: „O mój Jezu, po raz ostatni całuję te rany ciężkie dla ciebie, ale dla mnie słodkie". Zaiste, słodki był krzyż otwierający jej tak szerokie horyzonty, dający jej wgląd tak głęboki w życie ludzkie i jego Boskie tajemnice; prowadzący ją zawsze wzwyż do ostatecznego triumfu.

M. Serafina O. S. U.

Przegląd bibliograficzny

JAŁBRZYKOWSKI ROMUALD, Ks. Arcybiskup Wileński, *U Źródeł Sakramentalnych Łaski i Miłości Bożej.* Wilno, Św. Wojciech, 1938. Str. 516.

Z gorącego serca pasterskiego i z długoletniego doświadczenia kapłańskiego zrodził się ten piękny tom teologii sakramentalnej, ujętej w dostępną dla wszystkich formę. W 41 rozdziałach mamy tu żywy i pociągający wykład nauki o sakramentach, przy czym ośrodek życia sakramentalnego, Najśw. Eucharystia zajmuje przeszło połowę tomu. Jest ona tam rozważana i jako sakrament i jako ofiara i jako pokarm ; nie brak też i cennych uwag o przepięknej oprawie liturgicznej, w którą Kościół kult eucharystyczny ubiera. Dzieło J. E. Księdza Metropolity wileńskiego jest bardzo wartościowym nabytkiem dla naszej literatury religijnej i nie można wątpić, że zdobędzie sobie liczne rzesze czytelników wśród wiernych.

O. J. W.

WETMAŃSKI, Ks. LEON, Biskup Sufragan Płocki, *Miłosierdzie.* Konferencje wygłoszone na zebraniach Stowarzyszeń Pań Miłosierdzia w Płocku. Płock, Caritas, 1939. Str. 341.

W chwili kiedy akcja miłosierdzia chrześcijańskiego coraz piękniej zaczyna się rozwijać i wytwarzać

sobie nowe formy organizacyjne, tom konferencji na temat miłosierdzia jest bardzo na czasie. Tak ważnym jest bowiem, aby te nowe poczynania były zawsze natchnione tym wyższym duchem nadprzyrodzonym, który jeden jest w stanie zapewnić im płodność i powodzenie. Konferencje w liczbie 52 wygłoszone zostały w atmosferze Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia i to im nadaje ten wysoki nastrój miłości, który największy jałmużnik w dziejach Kościoła, św. Wincenty a Paulo, umiał tchnąć we wszystkie swoje dzieła. Oprócz rozważań zasadniczych, odnoszących się do miłosierdzia i wypływających z niego obowiązków, mamy tam wiele wskazówek praktycznych, które mogą być bardzo pożyteczne dla tak licznych dziś w Polsce współpracowników Caritasu.

O. J. W.

S. M. RENATA od Chrystusa, Niepokalanka. *Z dziejów nawróceń.* Sandomierz, Prawda Katolicka, 1939, Str. VIII — 389.

Historia nawróceń ma w literaturze religijnej osobne miejsce, poznanie bowiem tego tajemniczego procesu, jaki się rozgrywa w duszy, nim dojrzy w nadprzyrodzonym świetle wiary prawdy objawione przez Boga, przedstawia szczególny interes. Dla tych co się jeszcze wahają lub ociągają może być ono ostatnią podnietą do zrobienia decydującego kroku, dla wierzących jest cudownym widokiem miłosierdzia bożego, działającego przez łaskę w głębi dusz dobrej woli. Po kilku pięknych książkach poświęconych liturgii i jej pięknu, daje nam w niniejszym tomie S. Renata osiemnaście sylwetek najwybitniejszych konwertytów ostatniego stulecia. Ogromna wśród nich rozmaitość typów duchowych, zależnie od narodowości, środowiska, zamiłowań, a łaska Boża, ta sama i niezmienna u Boga, do każdego z nich inaczej się przystosowuje

i innymi drogami prowadzi do tej samej owczarni Chrystusowej. Przepiękna ilustracja zapowiedzi Zbawiciela, że owce Swe nazywać będzie „imiennie“ (Jan 10, 3), to jest z takim głębokim uszanowaniu ich osobistych cech, które od Niego jako od Stwórcy otrzymały.

O. J. W.

ALBERT MAHAUT, *Chrześcijanin człowiekiem czynu.* Warszawa 1939, Wyd. „Verbum“, str. 182.

Książka Alberta Mahaut pt. „Chrześcijanin — człowiekiem czynu“, rzuca głębokie światło na spójnię konieczną między życiem wewnętrznym i życiem czynu, i na potrzebę oparcia przede wszystkim życia czynnego na podstawach mocnych, czystych i prawdziwie bożych.

Można śmiało powiedzieć, że książeczka ta jest jakby komentarzem do słów naszego Zbawiciela: „Gdzie jest skarb twój, tam jest i serce twoje“ (Mat. VI, 21), to znaczy: myśli twoje, pragnienia twoje i czyny twoje. Nasze czyny tylko pod tym jedynie warunkiem zrodzą trwałe owoce, jeżeli będziemy „mieszkać“ w Chrystusie, bo bez Niego nic trwałego uczynić nie potrafimy (Jan XV, 5).

O. I. S.

IRENA LUBIENIECKA, *Wianek Mariański,* Potulice, nakładem Seminarium Zagranicznego, 1939. — Stron 92, cena 1.50 zł.

Żyjemy w czasach ogólnego nawrotu do liturgii i witamy radośnie każde wydawnictwo z tej dziedziny, tym bardziej jeśli nie jest to tłumaczenie z obcych języków, lecz rzecz orginalnie napisana po polsku. Książeczka niniejsza w prostej a wytwornej formie

niesie czytelnikowi polskiemu śliczną wiązankę liturgicznego kwiecia. Autorka przechodzi kolejno wszystkie święta Najśw. Panny, w które rok kościelny tak jest bogaty; wybiera z tych przecennych klejnotów, jakie zawiera Brewiarz i Mszał, co najpiękniejsze teksty, i pokazuje nam, jak liturgia katolicka czci Przenajświętszą Dziewicę. Przesuwają się więc kolejno przed nami Niepokalane Poczęcie, Narodzenie N. Panny, Jej Ofiarowanie w świątyni, Zwiastowanie, Radości Maryi u żłóbka betlehemskiego, ciche życie w nazaretańskim domku, ból Jej macierzyńskiego serca pod krzyżem Syna, radość ze Zmartwychwstania Jego, wreszcie Jej Zaśnięcie, triumfalne Wniebowzięcie oraz Ukoronowanie przez Trójcę Przenajświętszą na Królowę nieba i ziemi.

Ten liturgiczny „Wiane Mariański" wart jest najszerszego rozpowszechnienia; treść zaczerpnięta ze skarbców Kościoła nie potrzebuje polecenia; szata zewnętrzna wysoce estetyczna, cena przystępna powinny jej zjednać wielu czytelników. Nadaje się do bibliotek sodalicyjnych i szkolnych jako miłe i pożyteczne czytania na Maj.

S. M. R.

Superiorum permissu *De licentia Ordinarii*

Redaktor: O. Jacek Woroniecki O. P.